



MACIEJ RUSZEL

Strażnik Tresaonu
Tom II

LAMENT
NAD
PREATIUM

MACIEJ RUSZEL

Strażnik Tresaonu
Tom II

LAMENT
NAD
PREATIUM

[Kup książkę](#)

Copyright © by Maciej Ruszel, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-966824-1-3

Redakcja: Paulina Zyszcza – Zyszcza.pl

Korekta: Natalia Kocot – Zyszcza.pl

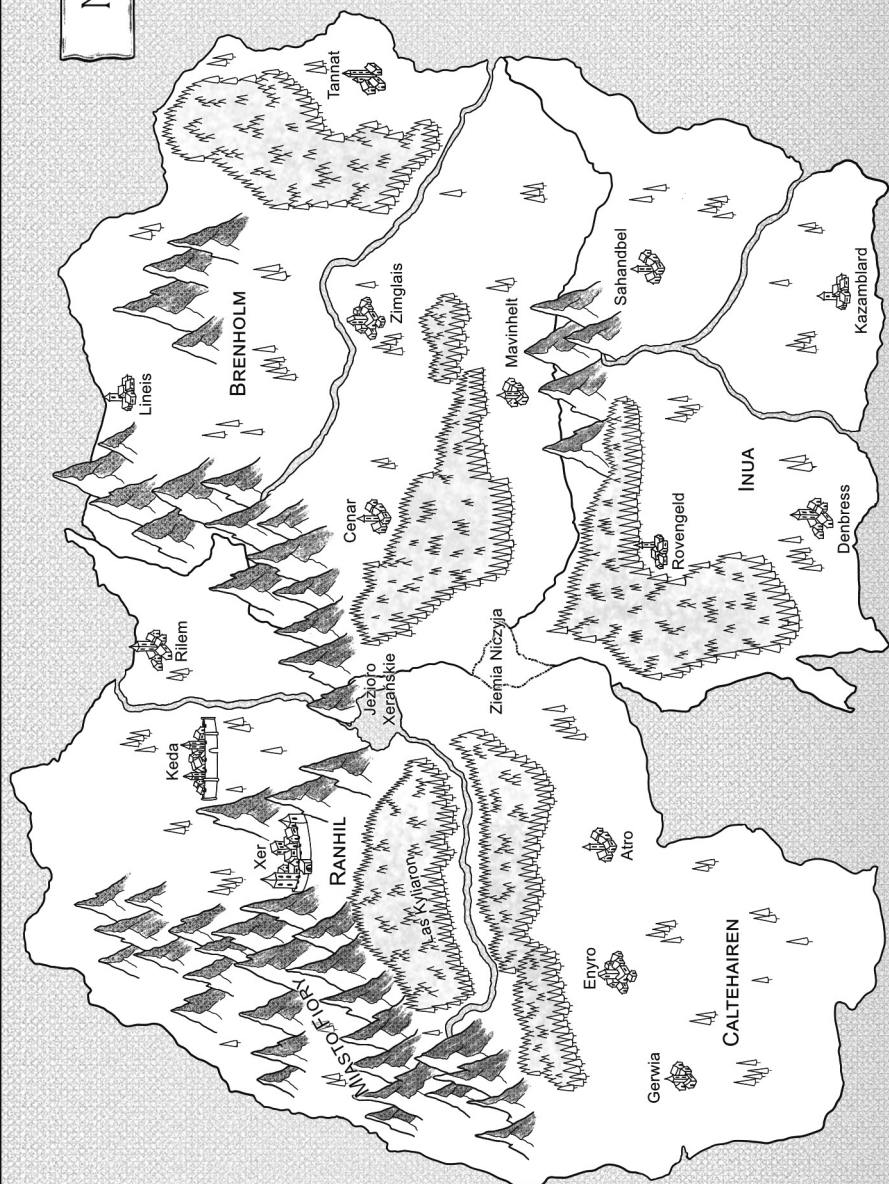
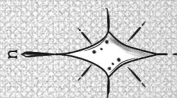
Skład: Andrzej Zyszcza – Zyszcza.pl

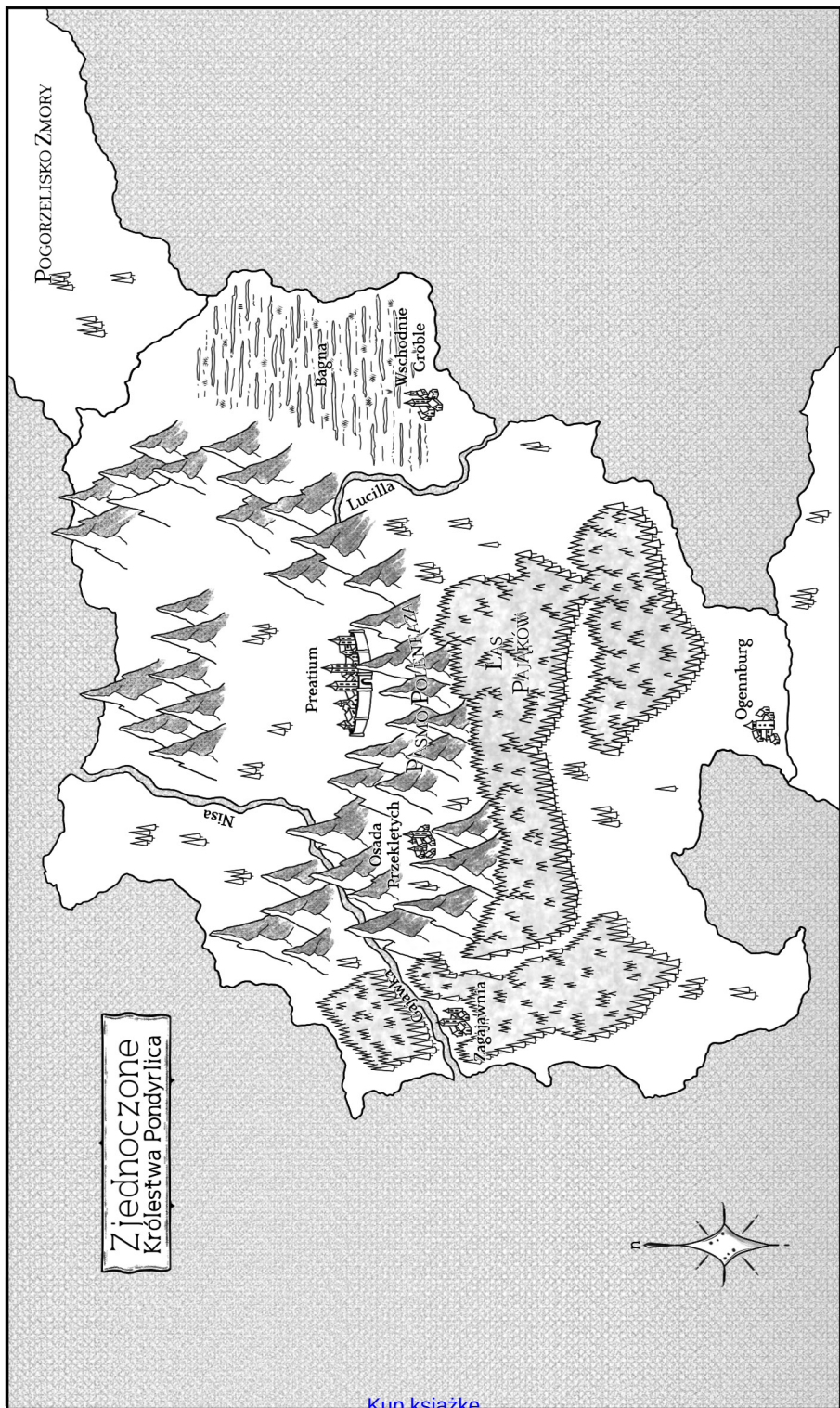
Projekty map: z_sajjad – Fiverr.com

Projekt okładki: designerbeauty – Fiverr.com

*Dla tych, którzy próbują,
choć wszyscy wokół mówią, że nie warto*

Nercheles





Rozdział I

Wielkie naczynie pękło i gorzką prawdę rozlało...

Nimbostratusy spowiły południowe niebo. Nie należały one jednak do mroku panującego nad Caltehairen. To, co nadciągało, było bardziej rozległe. Sięgało daleko za granice małego królestwa. Co prawda w obliczu wydarzeń sprzed chwili nienaturalne zjawiska nie były niczym nienaturalnym. Mogłoby się wydawać, że wszystko, co dziwne, obce, magiczne i tajemnicze, jest dostatecznie przyziemne i nie warto sobie tym zawracać głowy. Nawet zdeformowane, wręcz smolistoczarne, gęste chmury pochłaniające wszelki prześwit jasności.

Kurz, który wciąż unosił się nad gigantycznym pobojowiskiem, atakował oczy z każdym podmuchem coraz silniejszego wiatru.

Zmora uniósł głowę i wbił wzrok w szybko zanikający nieboskłon. Dobrze wiedział, że anomalia nie jest dziełem jego, Nivlaraga ani Veriilora. Nie mógł jej też powiązać z niczym realnym. Wstał z olbrzymiego głazu i zrobił kilka kroków w stronę nadciągającej materii. Kiedy gwałtowne powiewy zamieniły się w zawieruchę, cała kompania się ocknęła.

– Co się, do cholery, znowu dzieje?! – rzuciła nerwowo Fiora.

– To coś magicznego – odparł Zmora.

– Tyle to i ja wiem – warknęła. – To Nivlarag?

– Ani nie Nivlarag, ani nawet nie Ivildius. To nic z Zargulduru.

– Masz jakiś pomysł?

– Będziemy improwizować. Zbijmy szeregi i osłaniajmy się magicznie na tyle, na ile to możliwe. Chroń tyły, ja zostanę tu.

– Magowie są na wyczerpaniu, nie poradzą sobie. Ja zrobię osłonę.

– Jeżeli spadnie na nas deszcz z wyzwolonej energii albo jakieś inne paskudztwo, nie utrzymasz Tresaonu. Rób, co mówię, i daj mi się skupić.

Fiora parsknęła, ale Zmora nie rozczulał się nad jej opinią.

Ciemne chmury zesały noc nad xerańsko-atrońską doliną. Poza niewyjaśnionym zjawiskiem pogodowym nie obserwowano niczego niepokojącego. Żadnych niebezpiecznych opadów, które przewidywał Zmora. Armia stała w bezruchu. W końcu bezruch zawitał również w powietrzu – wiatr ustał. Do wszechobecnego mroku dołączyła cisza.

Nie minęło dużo czasu, a Zmora dostrzegł coś zbliżającego się w ich kierunku. Nie była to jednak demoniczna armia – to w ogóle nie była armia. Mimo że widział różne obiekty z bardzo daleka, tym razem czuł, jakby tracił swój wyostrzony zmysł. Mało tego: z każdą chwilą dopadało go coraz większe zmęczenie. Spojrzał na

siebie, wypatrując rany, którą być może otrzymał podczas starcia z Veriilorem, ale nie krwawił. Przyśpieszył mu oddech. Upadł na jedno kolano. Veana natychmiast do niego podbiegła, zostawiając ранego Karla z Roimezem.

– Co ci jest, Zmora?

– Nie... mam... pojęcia.

Padł na obydwa kolana. Zawył z bólu, dużo większego niż wtedy, gdy oberwał zakłębem wyzwolenia od Nivlaraga. W końcu skowyt przeszedł w falę rozpacz i niemocy. Jego pancerz chwilami zamieniał się w czarny dym. Dematerializacja przybierała na sile, trwała coraz dłużej, aż budząca grozę zbroja zupełnie się ulotniła. To coś było już blisko, w zasięgu wzroku każdego w pierwszym szeregu. Niektórzy rycerze z Caltehairen również doznali nagłego osłabienia. Nie tak poważnego jak ich władca, ale wystarczającego, żeby wypuścić z dłoni oręż. Grube pancerze im ciążyły, męczyły ich i uciskały. Magowie i kapłani odczuwali niemoc najbardziej zaraz po królu. Co potężniejsi byli na skraju utraty świadomości, inni doświadczali bólu, który nienaturalnie wykręcał ich kończyny. Stawy przełamywały ograniczenia swojej ruchomości i przerastały, a towarzyszył temu ohydny trzask.

Zmora zbliżał się do granic wytrzymałości. Wszyscy poza magicznie uzdolnionymi trzymali się jednak względnie dobrze. Dystans dzielący ich od źródła zjawiska wynosił już niecałe sto metrów. Nad zakrwawioną powierzchnią pobojuwiska majestatycznie dryfowała istota. Jej jasnobrązowa szata delikatnie falowała, jakby stanowiła osobną materię. Spod kaptura wyzierała ciemność.

To coś wyglądało, jakby nie miało twarzy ani ciała. Nie sposób było odczytać intencji przybysza.

Fiora wydała rozkaz. W stronę trudnego do zdefiniowania zagrożenia poleciał grad strzał i beltów. Magowie, którzy stali poza osłabiającym ich niewidocznym polem, nie szczędzili zaklęć. Istota jednak nie odniosła żadnych obrażeń. Dziury od serii grotów nie spowodowały krwotoków, tylko odsłoniły czern, jeszcze głębszą niż gęste chmury zasłaniające błękit nieba. Zaklęcia ofensywne zaś zatrzymywały się tuż przed celem.

Twór wystawił prawą rękę i wskazał na pierwszy szereg. Nagle wbił się w środek oddziału z prędkością błyskawicy, rozrzucając w losowych kierunkach wszystkich, którzy stali mu na drodze. Zmora uderzył ciałem w swoich rycerzy, obalając kilkunastu z nich.

Bestia – bo można było tak nazwać to zjawisko – wpadła w taniec śmierci. W jej dłoniach ukrytych pod rękawicami pojawiały się przeźrocyste ostrza. Wyprowadzała ciosy ze znacznie większą prędkością niż ta, którą dysponował Zmora nawet z użyciem magii wyzwolenia.

Ciała w ciężkich pancerzach zamieniały się w cienkie plastry. Tryskała krew.

Żołnierze na polecenie Fiory rzucili się szturmem na lewitującego przeciwnika. Paru udało się nawet skrzyżować kilkakrotnie klingi z bronią bestii. Caltehaireńczycy zaś byli w odwrotnej sytuacji – nie mogli nawet unieść mieczy, by się zasłonić przed atakami. Zmora gdzieś między padającymi jak pokosy trupami usiłował bezskutecznie podnieść się na nogi.

Fiora postanowiła użyć mocy Tresaonu, choć miała wątpliwości co do powodzenia tej akcji. Jak się okazało – słuszne. Wykonała potężny skok nad broniącymi się oddziałami, celując w środek zakapturzonej głowy oponenta. Tresaon trafił na niewidoczną barierę, nie mogąc jej przełamać. Osłona w kontakcie z wyjątkowo mocnym uderzeniem nie uległa zniszczeniu, tylko wywołała piskliwy hałas. Wielu ludzi rzuciło broń na ziemię, aby zatkać uszy. Oszołomiona Strażniczka spotkała się z uderzeniem pięścią w twarz. Odleciała na kilkadziesiąt metrów, powalając po drodze rząd wojów swoich i Zmory łącznie z nim samym. Imponujące piruety bestii zmieniały kolor uzbrojenia pobliskich rycerzy z czarnego i białego na intensywną czerwień.

Niektórym poddanym Fiory udało się zrobić w odzieniu wroga nacięcia, które odsłoniły znaczną część pustki. Tak jak się wszystkim wydawało, łachmany nie skrywały ciała. Sama tkanina, nawet zaczarowana przez potężnego maga, nie uzyskaby takich właściwości. W czymś tak prymitywnym tkwiła potęga, której nie sposób opisać.

Tego, co się działo, nie dało się nazwać egzekucją, gdyż ona ma jakiś sens, a przynajmniej skrawek logiki. Tutaj śmierć tysięcy nie niosła żadnego przekazu.

– Cofnąć się! Natychmiast! – rozkazała Fiora.

Zacisnęła dłoń na Tresaonie. Wtedy zatrzęsła się i rozstąpiła ziemia. Z czeluści wyłoniła się kamienna ściana i oddzieliła ich od istoty. Błysnęło światło.

Armia pojawiła się na płaskowyżu, w pobliżu podziemnej twierdzy Strażniczki. Horyzont powoli się rozjaśniał, a wszyscy, którzy stracili siły, odzyskali je na nowo.

Zmorę otoczył czarny dym i uformował się z powrotem w zbroję.

– Jak to wyjaśnisz? – Fiora rzuciła się natychmiast do Zmory.

– Nie wyjaśnię – odparł z lękiem w głosie. – Nie spotkałem się do tej pory z czymś takim. To coś było przeciwieństwem magii i jednocześnie emanowało nią, wypaczając ją u osób nią władających. Jeszcze bardziej niepokoi mnie fakt, że nie miało ciała. Energia musi być gromadzona w jakimś naczyniu, a tutaj nic. Pustka. – Rozłożył ręce.

– Dlaczego magiczni odczuwali ból, a ja nie? – wtrąciła się szybko Veana, wycierając krew z czoła.

– Krwawisz – zauważyła opiekuńczo Fiora.

– To tylko draśnięcie, zaraz to załatam. – Zwróciła się znowu do Zmory: – Byłeś bezbronny jak dziecko, podobnie magowie i część twoich rycerzy. Co się działo?

– Powoli. Sam muszę to przetrwać. – Spojrzał na południe. – Przynajmniej odpuściło – dodał, wpatrując się w zanikającą czarną materię. – Zaczniemy od początku. Co do stanu, w którym się znajdowałem, to nie czułem, że tracę moc, ale czułem, że obraca się ona przeciwko mnie. Gotowała się w moim wnętrzu, paliło mnie całe ciało, nie byłem w stanie nawet myśleć o tym, co się dzieje. Jestem najpotężniejszy z was, więc odczuwałem bunt mocy najbardziej.

– Fiora jest potężniejsza. Dzierży Tresaon – ucięła kwaśno Veana.

– Jak słusznie zauważyłaś: dzierży. Nie posiada mocy, a nawet jeśli, to nie na tyle dużą, by doświadczyła przykrych konsekwencji. Z tobą jest podobnie. Twoja moc

nie zdążyła się aktywować, więc nie stanowiła dla ciebie zagrożenia. W moich rycerzach zaś płynie magia. Jest jej niewiele, ale jak zapewne wiesz, nawet mała jej ilość ma swoje skutki uboczne. Mogli walczyć, ale byli słabi jak podczas choroby. Nie zadawajcie mi więcej pytań, bo nie odpowiem, sam mam ich zbyt dużo. Jedno z nich brzmi: po co ta lewitująca istota zrobiła to przedstawienie? Na pewno namierzyła nas po masowej teleportacji i zamiast nas dopaść i dokończyć dzieło, ulotniła się. To nie ma sensu. Jeżeli ktoś chce się kogoś pozbyć, po prostu to robi.

Veana chciała coś dodać do wypowiedzi Zmory. Najwyraźniej zamierzała rzucić jakąś złośliwość, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Słuchajcie – podjął ponownie Zmora – muszę sprawdzić, co z Caltehairen. Mam złe przeczucie.

– Udamy się z tobą. Prawda, Fioro? – rzekła z pochmurną miną Veana.

– Jasne. Błysnę nas. Tylko chwila. – Strażniczka podeszła do rycerstwa i przemówiła: – Posłuchajcie. Ja, Veana i Zmora na chwilę udamy się do Caltehairen. Opatrzcie rannych. Wielu wymaga natychmiastowej pomocy. Liczę, że magowie wesprą was na tyle, na ile to możliwe. Jesteśmy sojusznikami, więc musimy współpracować. Ci, którzy są w stanie się przemieszczać samodzielnie, niech od razu wyruszą do miasta przygotować kwatery w lecznicy. – Wróciła do swoich rozmówców: – No to w drogę.

Zdążyła jeszcze ujrzyć wpatrzonego w nią Roimeza, który kiwnął jej głową porozumiewawczo.

Błysnęło światło.

Znaleźli się w samym środku pustego miasta. Żadnej żywej duszy ani nawet powiewu wiatru.

Roztrzęsiony Zmora padł na kolana. Posoka na bruku zdawała się efektem deszczu krwi, ale przecież taki nie spadł. Dolna część ścian budynków pasowała kolorystycznie do placu i ulic, jakby jakiś malarz przygotowywał płótno do tworzenia swojego dzieła i dokładnie pokrył farbą, tak żeby wypełnić podkładem każdą wolną przestrzeń.

– Gdzie są ciała? – wydusiła z trudem Fiora.

Zmora nie odpowiedział. Wstał ze sztucznym spokojem, zawieszając wzrok na nieokreślonym punkcie.

– Zmoro? – ponagliła Veana.

Wykonał szybki zwrot w prawo i uderzył fioletowym pociskiem w pobliski budynek. Zniszczył front, doprowadzając do częściowego zawalenia. Ucierpiało jeszcze kilka budowli, a kobiety postanowiły się nie wtrącać w upust jego emocji. Cofnęły się o parę długich kroków, a Fiora czuwała, żeby w razie konieczności obronić je przed niekontrolowaną agresją towarzysza.

Po chwili Zmorze całkowicie puściły hamulce. Demolował otoczenie, rzucając na oślep różne zakłęcia. Znaczna część bruku obróciła się w gruz, a stoiska handlowe – albo raczej to, co z nich zostało – pochłaniał ogień.

– Zmoro, przestań! – Strażniczka nie wytrzymała. – Albo ci przywalę Tresaonem! – dodała gotowa na potwierdzenie swoich słów.

O dziwo, opamiętał się. Przerwał swoje destrukcyjne działania i udał się na spacer pomiędzy ruinami. Kroczył, kopiąc wszystkie odłamki hebanowych kamieni, które

spotkał na swojej drodze. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w wąską uliczkę. Nie koncentrował się na niczym. Po prostu szedł, zostawiając za sobą ślady na posoce, oderwany od rzeczywistości i – wydawałoby się – pozbawiony chęci do życia. Nie było jednak czemu się dziwić. Dostał właśnie największy motyw, o którym sam nie tak dawno temu mówił. Największą udrękę wszystkich istnień – pragnienie zemsty.

Snucie brutalnych wizji przerwał mu hałas dobiegający zza rogu po prawej. Podeszedł tam, aby sprawdzić źródło odgłosów. Jak się prędko okazało, był to jeden – i zdaje się, że jedyny żyjący, choć ranny – człowiek.

– Panie... – wydyszał podpierający się na mieczu ranny strażnik, gdy dostrzegł Zmore.

– Spokojnie, bracie, spokojnie. Zaraz poczujesz się lepiej.

Caltehaireńczyk przyłożył dłoń do rany rozciągającej się od lewego barku do prawego biodra mężczyzny. Błysnęło niebieskie światło, które miało zasklepić szramę.

– Nie działa. Przykro mi, Eianie.

– Znasz moje imię?

– Znam imiona wszystkich swoich poddanych. Powiedz mi: co tu się wydarzyło?

– Nagle zrobiło się ciemno. – Strażnik zakaszał krwią. Oparł się o mur i kontynuował: – Nastąpiła ciemność, jakiej do tej pory nie widziałem. To coś uniosło się nad naszymi murami, wleciało do miasta i zaczęła się rzeź. Większość nawet nie zdążyła sięgnąć po broń. To były sekundy. W dodatku kiedy ta latająca szata... – Zakaszał znowu. – ...była w pobliżu, czułem, jak ciąży na mnie zbroja. Moje ciało osłabło. Panie, gdybyś widział,

jak to mordowało... jakby nie potrafiło myśleć o niczym innym. Zabijało niby kontrolowane przez coś potężnego. W dodatku wchodziło do naszych domów, jakby widziało przez ściany. Przekraczało próg, dokonywało rzezi i tak cały czas, aż w końcu pozbyło się wszystkich na głównym placu. Z wyjątkiem mnie. Nie wiem, co z innymi częściami miasta, ale chyba mamy takie samo przeczucie. Przetrwiałem chyba tylko dlatego, że byłem ostatnim. Kiedy upadłem, to coś się we mnie wpatrzyło. Choć nie dostrzegłem oczu ani twarzy, czułem, jak przenika do mojego wnętrza.

– To była wiadomość. Zapewne dla mnie. A co się stało z ciałami?

– Ta zjawą zadawała cios i natychmiast wsysała ciało. Niektórzy wciąż żyli... – Eian dostał okropnego ataku kaszlu. – Panie, powiedziałem wszystko, co widziałem. Męczę się. Proszę, zrób, co trzeba.

– Byłeś mi wierny do ostatnich swoich chwil. Ukoję twój ból i obiecuję ci, że pomszczę was wszystkich. Zamknij oczy.

– Nie trzeba. Jestem gotowy.

Zmora przyłożył szpikulec Miecza do czoła Eiana i lekko pchnął. Ostrze przebiło głowę na wylot, niosąc wieczny odpoczynek.

* * *

– Nie znałem i nie szukałem nigdy żadnych życiowych prawd, dlatego tworzyłem własne, które z biegiem czasu stawały się prawdą. Są jednak takie dni jak dziś, kiedy

uzmysławiam sobie, że największą porażką prawdy jest moment, w którym kłamstwa stają się prawdziwe. Kłamstwa, które sobie wmawiałem, wierząc w nie tak głęboko, że sam się im poddałem. Obrałem pewną życiową misję: krucjatę mającą na celu zmienić cały świat na lepszy. Stworzyłem tę ideę jeszcze wtedy, kiedy ludzie mieli problem z odróżnieniem mnie od końskiego łajna. Nie patrzyłem wówczas w niebo, żeby przeklinać majestat bogów. Nawet o nich nie myślałem. Sam już nie pamiętam, czy w ogóle miałem pojęcie o ich istnieniu. To całe skurwysyństwo, które mnie otaczało i na które byłem skazany, to chore, bezpodstawne Zło, które wypełniało moje płuca z każdym zaczerpniętym oddechem... to mnie przerażało. Byłem za słaby, żeby z nim walczyć, a jednocześnie zbyt potężny, choć na skraju załamania. Wtedy mnie olśniło. Skoro nie posiadałem nic, to nic nie mogłem stracić. Tak się rozpoczęła moja wędrówka ku Zmorze. Teraz stoję w centrum tego, co tworzyłem przez wieki, i choć ta ohydna woń skurwysyństwa nigdy tak naprawdę mnie nie opuściła, to teraz znów mam w ustach smak błota, które tak często mi towarzyszyło. DLACZEGO TO MNIE LUDZIE NAZYWAJĄ POTWOREM?!

Zatrzęsła się ziemia, a niebo wyścieliło się błyskawicami.

Spadł obfity deszcz, z trudem jednak zmywał częściowo zakrzepłą już krew.

– Zmoro... – Veana podeszła do niego ostrożnie, odgarniając mokre włosy z czoła. – Wracajmy do reszty. Musimy to wszystko omówić i...

– Ja nigdzie nie wracam. Muszę się dostać do Nodergardu. To się stało po tym, jak Nivlarag przegrał starcie. Na pewno uciekł do swojej twierdzy, do swojego ciała. Pójdę tam i odetnę mu ten plugawy łeb, a jego ryj rozsmaruję po całym Zarguldurze. Otwórz mi przejście, Fioro, a potem możecie wracać do twojej twierdzy, by schować się pod ziemią i cieszyć nędznym, szczurzym życiem.

– Rozumiem twoją frustrację i nienawiść, ale wszyscy dziś ucierpieli. Zmoro, na litość, prawie cały kontynent stoi w ogniu, a Ranhil jest w gruzach! Nie tylko Caltehairen padło! Chcesz przejść do ich wymiaru i jak gdyby nigdy nic zabić Nivlaraga, z którym mieliśmy problem nawet wspólnie? Co z innymi bogami i Veriilorem? Ja się nie piszę na samobójstwo.

– Nie proszę żadnej z was, żebyście tam ze mną poszły. Żądam tylko otwarcia przejścia do ich wymiaru.

– Idę z tobą – zaproponowała ostro Veana. – Nie lubię cię, Zmoro, ale to, co się tu wydarzyło, przekracza granice wszelkiego pojmowania. Kilka dni temu nie miałam pojęcia o niczym, zwłaszcza o sobie samej. Teraz dostaję szansę przejścia do innego wymiaru i za cholerę nie wiem, co mnie tam czeka, ale czuję, że warto. I tak mierzymy się z czymś, co nas przerasta, więc jeżeli mamy umrzeć, to chociaż sami wybierzmy sposób. Fioro, otwórz przejście. Proszę. – Spojrzała na towarzyszkę błagalnym wzrokiem.

– Niech was szlag. Możemy stamtąd nie wrócić...

– A do czego chcesz wracać? – odparł oschle Zmora.

– Nie zapominaj, że wciąż mamy swoich ludzi, a oni swoich władców. Jesteśmy im coś winni.

– Jedyne, co im jesteśmy winni, to sprawiedliwość za to, co się stało. Wystaw Tresaon, muszę mieć z nim kontakt fizyczny. Gdy przejdziemy na drugą stronę, natychmiast zamykaj.

Zmora złapał za klingę Miecza. Powietrze przed nimi zaczęło falować jak nad rozgrzaną blachą. Weszli w zatarty fragment wymiarów, a w Caltehairn nie pozostało nic, co żywe.

Rozdział II

To, co w głębinach ukryte, do dziś dnia milczało...

Otwarta przestrzeń niezdarnie udekorowana wystającymi ostrymi skałami i mniej licznymi wzgórzami rozciągała się po kres horyzontu. W tej wielkiej, pustej i jednocześnie ciasnej krainie mrok wydawał się środkiem dnia za sprawą wyblakłego słońca, którego zimne światło przypominało bardziej blask księżyca niż promienie gwiazdy. Gęste, siarkowe powietrze drażniło gardło, a pył pod wpływem powiewów wpadał do oczu. Nawet gdyby padał tutaj deszcz, sprawiałby wrażenie suchego, jakby był tylko jego imitacją. Tak wyglądał Zarguldur – świat pierwszych ludzi, skażony opętańczymi działaniami Nivlaraga.

– Kraina umarłych nadziei – mruknął pod nosem Zmora.

– Ohyda. Zaraz się porzygam – wtrąciła Veana, zatykając palcami nos.

– Zróbmy, co mamy zrobić, i wracajmy – rzekła zdecydowanie Fiora. – W którym kierunku mam błysnąć? – zwróciła się do Zmory.

– Tu nie błysniesz. A za każdym razem, gdy otwiera się przejście, dzieje się to w losowym miejscu. Jak widać,

szczęście nam zanedbano nie dopisało, ale mogło być gorzej. Wydaje mi się, że jesteśmy niedaleko granicy Claimont. Pójdziemy na... nazwijmy to zachodem.

– „Nazwijmy”? – wtrąciła Fiora.

Zmora już śpieszył z odpowiedzią, ale Veana nie wytrzymała i wyrzuciła zawartość żołądka.

– Tutaj nie ma pór dnia – wyjaśnił. – Słońce porusza się równolegle do półkuli wymiaru.

– Czyli po drugiej stronie cały czas panuje noc? – drążyła Fiora.

– Nie, jest dokładnie tak samo jak tu.

– Chcesz mi powiedzieć, że są dwa słońca?

– Tylko jedno, tak jak wszędzie. Bóg odpowiedzialny za jego wykreowanie zawalił sprawę, stąd ta anomalia. W miejscu powstania słońca pojawił się wyłom w strukturze wymiaru i część gwiazdy jest tu, a kolejna część wystaje po drugiej stronie.

– Więc teoretycznie, gdyby udało się...

Ciekawość Fiory zakłóciły słowa Veany.

– Mam dość – podjęła, wycierając usta.

– ...gdyby udało się dostać do słońca, to można by natychmiast przenieść się na drugą półkulę?

– Teoretycznie tak. Pora na nas – rzekł Zmora.

Wędrówka przez rozległe pustkowia nie należała do wymarzonych. Po pewnym czasie stała się nużąca i męcząca. Fiora zdążyła wyczerpać cały zapas abstrakcyjnych pytań. Gdy przystąpiła do formułowania pokreślonych filozoficznych teorii, wyczerpany Zmora zarządził, że dalej idą w milczeniu. Nie miał ochoty rozmawiać, od kiedy przekroczyli granicę międzywymiarową. Nawet

nerwowo warknął do towarzyszki, dając jej do zrozumienia, że nie jest ich przewodnikiem, tylko idzie dopaść Nivlaraga. Veanie ta cisza w sumie pasowała. Jedyne, czym się zajmowała podczas marszu, to zmienianie zdrętwiałej ręki zatykającej nos na drugą.

Po wielu kilometrach, kiedy teren zaczął się mozolnie wznosić nad płaską taflą spękanego skalistego gruntu, a w oddali pojawiły się kontury klinowatych szczytów, zwrócili uwagę na pewien detal.

Zatrzymali się.

– Cisza. Jest cisza – odezwał się Zmora po długich godzinach milczenia.

– Przecież ona nam towarzyszy cały czas – prychnęła Fiora.

– Jesteśmy już na terenach Claimont.

– Sugerujesz, że demony powinny nas już taranować?

– Coś w tym stylu. Ruchy! – Zmora znacznie przyspieszył.

Wkrótce natrafili na pierwsze ciała. Niektóre hazli-ty leżały sztywno, niektóre ciężko dyszały, podrywając z ziemi pył. Z każdym krokiem robiło się gęściej od psów, jak nazywali te bestie Caltehaireńczycy.

Podłoże stawało się coraz bardziej pochyłe. Na szczycie pagórka wędrowcom ukazała się kolejna rozległa przestrzeń z nielicznymi widowiskowo uformowanymi kształtami z daleka przypominającymi monumentalne, wręcz upiorne budowle. Budziły grozę każącą zawracać, a jednocześnie wywoływały ciekawość przeplataną z dreszczem i niedowierzaniem.

Obiekty gabarytami przypominały konstrukcje z Cal-tehahren, ale były bardziej chaotyczne. Mamiły ludzkie oko, ich poszarpane szczyty rozmazywały się i falowały jak za sprawą gorącego powietrza. Było to jednak tylko złudzenie, co szybko się potwierdziło, gdy Zmora poprowadził towarzyszkę w głąb doliny. Nie obawiał się niebezpieczeństwa z dwóch powodów: po pierwsze miał ochotę dla własnej przyjemności rozprawić się z zamieszkującymi ten wymiar maskarami, po drugie po zwłokach hazlitów wnioskował, że do niecodziennej rzezi doszło nie tylko w Ranhil.

Spod każdego z tysięcy martwych demonów wydobywała się zielona, śmierdząca, śluzowata maź i łączyła w płamę rozciągającą się po całej dolinie.

– Ta istota wymordowała demony, ale nie zabrała ciał. O co tu, do cholery, chodzi? – Zmora wzruszył ramionami, a kobiety powtórzyły po nim ten gest. – Widzicie tamte dwa szczyty? To twierdza Nodergard, a to leże Veriilora. To stamtąd wyruszył Nivlarag. Swoją drogą, myślałem, że Claimont będzie opustoszałe, a tu niespodzianka. Zostawił kilka oddziałów. Chociaż... chwila. – Odwrócił na plecy jedno z ciał. – To nie demony Nivlaraga. Spójrzcie na to znamię na prawym ramieniu. Symbol boga Zitharema. Widocznie mieli pilnować twierdzy, podczas kiedy on plądrował Ranhil...

Omawianie sytuacji przerwał ryk, który wstrząsnął okolicą.

– Szlag! Wiejmy do tego budynku! – ponaglił Zmora z niepokojem.

– Veriilor? – zapytała Veana, w końcu się przełamując.

– Tak. Lamentuje nad swoim domem. Słyszycie trzepot jego skrzydeł? Krąży nad nami. Nie mam zamiaru tracić czasu na walkę z nim. Kiedyś przyjdzie pora i na niego, a wtedy wypcham jego głowę i powieszę nad drzwiami mojej komnaty. – Zmora zamyślił się na chwilę. Fiora wyrzała zza kamiennej ościeżnicy, aby wypatrzyć dryfującego po niebie smoka. – W Caltehairen – kontynuował – spotkałem jednego rannego rycerza. Powiedział, że istota pochłoneła wszystkich, zarówno żywych, jak i martwych.

– Żywych? – Fiora się odwróciła.

– Tak. Nie zadawaj więcej pytań, nie odpowiem.

Ziemia lekko zadrżała.

– Co to było? – zaniepokoiła się Veana.

– Zdaje się, że Veriilora zmęczyło latanie. Jeśli będziemy się przemieszczać między budynkami cicho, może nas nie usłyszy. Wychodzimy, bądźcie czujne.

Każdy ostrożnie wyrzał w innym kierunku. Nieregularne kształty budowli utrudniały ocenę sytuacji, ale smok był gigantyczny. Minęli parę niechłujnie rozrzuconych obiektów. Niekiedy deptali z charakterystycznym chlupaniem po rozprutych zwłokach.

Dotarli do sporej, odsłoniętej przestrzeni. Co prawda nie było śladu po Veriilorze, ale z pewnością czaił się gdzieś nieopodal. Podbiegli do długiej ściany budynku. Ostrożnie, wciąż do niej przyklejeni, dobrnęli do rogu i ujrzeli plac przypominający olbrzymią rupieciarnię. Na stosach leżały stare, popękane pancerze, oręż, pordzewiałe

blachy, fragmenty metalowych bram, krat i setki innych trudnych do zidentyfikowania rzeczy.

Zmora poprowadził kobiety przez złomowisko. Czasami zahaczał o wystające pręty, a te brzdękały niczym struny źle nastrojonej lutni.

Zatrzymali się przy ostatniej stercie. Fiora stanęła na czymś kolczastym, ze zwężającym się zakończeniem. Metalowy element poruszył się i ją przewrócił. Ziemia zadrżała i rozległ się charkot. Tytaniczne skrzydła się rozłożyły, przewyższając większość pobliskich obiektów. Buchnął fioletowy ogień. Zza kupy metalowych śmieci wyłonił się pysk Veriilora, demolując ją. Wpatrzony w Zmorę kłapał szczękami, zahaczając o niego czubkiem pyska. Zmora upadł. Fiora stanęła bokiem do szyi bestii, zrobiła szeroki zamach i puściła ostrze Tresaonu. Smok wykonał sprężysty unik i ponownie kłapał zębami. Tym razem celem była Strażniczka. Gdy znalazła się w masywnej paszczy, zaczęła dźgać pysk od środka jak oszałała, ale ostrze nie raniło smoka.

Zmora rzucił się z Berłem i wyprowadził serię cięć, błyskając kolorami i powodując iskrzenie. Udało mu się rozłupać mocowanie zbroi łączącej szyję kolosa z głową. W paszczy bestii dochodziło do wyładowań. Veriilor zaczął się krztusić i w konsekwencji wypłuł Fiorę.

– Zmora! Zabij mnie! – krzyczała Veana, wciąż się miotając, jakby goniła ją szarańcza.

– Serio? Teraz?!

– Muszę uwolnić moc!

– Nie mam czasu! Uciekaj do Nodergardu, my go zatrzymamy!

Veriilor się cofnął, naprężył groźnie szyję i zionął długim płomieniem. Fiora wiedziała, jak się zachować. Tresaon zamienił się w emanującą mocą Tarczę, a Zmora użył swoich magicznych zdolności, żeby ją wspomóc.

– Veano, gdy przestanie ziać, gnaj co sił do Nodergardu! – polecił jej stanowczo.

– Zrozumiałam – zapewniła z przerażeniem.

– Fioro, krok do przodu!

Zbliżenie się do bestii nie było wcale takie proste. Zamiast postawić krok w przód, cofnęły się. Veriilor przestał używać swoich ogniowych gruczołów, by wziąć wdech, a wtedy fioletowa blokada zniknęła. Wykorzystując sytuację, podbiegli do smoka i podjęli szarżę z przygotowaną już wspólną barierą energetyczną. Długa szyja wygięła się w drugą stronę, a kreatura pomimo zapierania się o ziemię drgnęła o parę metrów. Veana pomknęła przed siebie. Veriilor rychło odzyskał równowagę i ponownie wyprężył szyję, przygotowując się do kolejnego zionięcia.

– Pod brzuch! – wrzasnął Zmora.

Tresaon wrócił do formy miecza i równolegle z Berłem został poprowadzony do cięcia wzdłuż opancerzonej gardzieli. Było to poprawienie tego, co Zmora zrobił podczas podniebnej bitwy. Fragment ochraniacza ześlizgnął się i odsłonił prawie półmetrowe ciemnozielone łuski.

Zajęli pozycję zgodnie z planem, wbijając naprzemiennie klingi w tułów przeciwnika. Ten podniósł się na tylnych łapach i prędko opadł, próbując ich zgnieść. Naprędce postawiona bariera oddzieliła ich od gada. Ten zatrzepotał skrzydłami i oddalił się na bezpieczną odległość. Posłał ognisty pocisk, przesuwając się nieco

na bok, aby móc wyprowadzić dodatkowo uderzenie ogonem. Przebił się przez obronę Strażniczki i króla Caltehairen. Obaleni w ostatnim momencie zdążyli się podnieść przed kolejną falą fioletowego płomienia.

– Ja odwrócę jego uwagę, a ty zajdź go od tyłu! – powiedział do Fiory ledwie zrozumiale Zmora. – Spróbuj się na niego wdrapać i wbić mu Tresaon w kark!

Zaczął od wyzwolenia energii w postaci nieprzerwanej błyskawicy i skoncentrował się na monstrualnym pysku. Veriilor miotał się w prawo i w lewo, usiłując uniknąć bolesnego kontaktu z magią. Chociaż jego ogień prezentował ten sam szczebel magii, to teraz miał do czynienia z mocno skupioną wiązką energetyczną topiącą jego łuski.

Zasłonił się wciąż opancerzonymi skrzydłami.

Zmora użył swojego ulubionego zaklęcia. Zielone smugi przypominające włócznie zasypały gradem grubego pancerza, szatkując go. Popłynęła krew. Smok się odsłonił, wypuszczając serię fioletowych kul. Zaskoczyło to Zmorę. Co prawda kilka z nich udało mu się zneutralizować spontanicznymi opozycyjnymi zaklęciami, wyziewy Veriilora były jednak szybsze. Caltehaireńczyk został ugodzony kilkanaście razy z rzędu. Odrzucony w tył uderzył o pobliski budynek. Część ściany zamieniła się w gruz i go zasypała.

Fiorze w zachowaniu równowagi podczas gwałtownych smoczych ruchów pomagały kolce na jego zbroi. Veriilor najwyraźniej zrozumiał, że jeden z nieproszonych gości gdzieś się zapodział, bo nerwowo rozrzucił szponami sterty złomu w poszukiwaniu Strażniczki.

Jego działania nie przyniosły rezultatów, więc poderwał się z ziemi i ogarnął ogniem wszystko w promieniu paru metrów. Z powodu zranionych skrzydeł z trudem utrzymywał stałą wysokość.

Podleciał do gruzów, pod którymi powinien się znajdować Zmora. Ten wyłonił się ze zgliszczy, wzniecając chmurę kurzu, i wbił gadowi ostrze Berła między oczy. Magiczne łańcuchy wyskoczyły ze skalistego gruntu i owinęły się wokół szyi Veriilora, przyciągając ją do ziemi. Fiora stała już na jego głowie. Kiedy ostrze Tresaonu niemal zatopiło się w smoczym karku, stwór zmienił postać w eteryczną. Fala uderzeniowa odrzuciła Fiorę. Zmora, ponownie oderwany od gruntu pod wpływem magii oponenta, przeleciał przez gruz i wylądował kilka pomieszczeń dalej. Wrócił do pozycji obronnej i przywołał ostrze z głowy smoka, który właśnie się zbliżał. Wyprowadził serię ciosów, podobnie jak wcześniej. Veriilor ruszył do przodu, przeciągając Zmorę przez cały budynek. Ten po tym krótkim spacerze obrócił się w całkowitą ruinę.

– Mam dość tego skurwysyna – sfrustrowała się Strażniczka. – Na moc wszystkich bogów żyjących w Tresaonie! Muszę się go pozbyć!

Artefakt zawibrował, otaczając Fiorę mieniącym się widmem. Niedługo później poświata zaczęła intensywnie iskrzyć, aż przerodziła się w kolorowe błyskawice pełzające po Strażniczce i artefakcie. Fiora skoczyła daleko i wysoko. Zatopiła klingę w samym środku eterycznego ciała, wywołując eksplozję losowo wędrujących promieni. Smok przerażająco zawył, unosząc łeb ku niebu. Wariacko uderzające w przypadkowych

kierunkach smugi światła siały spustoszenie głównie na ciałach demonów.

Eteryczność Veriilora ustała, a Zmora zamienił mu gardło w fontannę fioletowej krwi. Smok mimo ran błyskawicznie się odwrócił i uderzył ogonem swojego oprawcę.

W tym czasie Fiora zsunęła się po grzbiecie stworzenia z wciąż wbitym w cielsko ostrzem, niszcząc elementy opancerzenia. Kiedy postawiła stopy na ziemi, smok spróbował zionąć ogniem. Udało mu się jedynie obryzgać przeciwniczkę posoką, lecz ta wyparowała w kontakcie z energią. Na pożegnanie Strażniczka skumulowała olbrzymią moc w niewielkim pocisku i cisnęła go prosto w gadzią paszczę. Ze złamanej zuchwy posypały się zębiska.

Veriilor niebezpiecznie się szamotał, szurając po ziemi ciężkimi skrzydłami i ogonem. Oderwał się od gruntu, próbując resztkami sił uciec od jadowitych ciemieńców. Nie mogąc się wzbić na wystarczającą wysokość, uderzał naprzemiennie skrzydłami i kruszył skały. W szaleńczym slalomie zahaczył parę razy o ściany budynków. Znaczył przy tym za sobą drogę broczącą krwią.

– Dlaczego on nie zdycha? – zdziwiła się Strażniczka.

– Normalny smok padłby po przebiciu czaszki, a podcięcie gardła wykończyłoby go niemal od razu – rzekł Zmora. – Twardy jest. W końcu to pupilek Ivildiusa. No cóż. Ludzie mają psy, a Stwórca smoka wielkości warowni. Pośpieszmy się. Nie może dopaść Veany.

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego nie wyczarowałeś sobie tych skrzydeł co w Ranhil i w ogóle dlaczego się nie przemieniłeś w tego demonopodobnego gościa? – zapytała Fiora w biegu.

– Wahałem się. Ostatnio w powietrzu prawie mnie pokonał. Fakt, miałem już przyjemność walczyć z Razanelem i Nivlaragiem, mimo wszystko czułem do Veriilora respekt. Poza tym nie uważałem za konieczne zużywania zanedo mocy wyzwolenia. Metamorfoza wymaga ode mnie sporo pokładów mocy, ale możliwości, jakie daje, są ogromne. Używam jej wyłącznie przyparty do muru. Dosłownie i w przenośni – wytłumaczył, nie zwalniając tempa.

Fiora zaspokoili ciekawość. Przynajmniej na razie.

Veriilor często robił przerwy w locie. Zdawało się, że nie da rady już się unieść, kiedy szorował łbem po gruncie, każdorazowo udawało mu się jednak zebrać ostatnie siły. W końcu spiął mięśnie – co stanowiło nie lada wyczyn ze względu na ich niedotlenienie – wybił się wysoko, poszybował i uderzył w kamienną bramę, powodując rozległy wstrząs sejsmiczny. Twierdzą Nordergard zasnęła chmura pyłu. Widoczne były tylko jej ostro zakończone wierzchołki.

* * *

– Ależ odrażające miejsce – stwierdziła Fiora, pokonując kolejne z kilkuset stopni wykonanych z nieznanego jej ciemnoczerwonego minerału. – Czy to ludzie? – zapytała Zmorę, gdy zwróciła uwagę na sylwetki w kamiennych barierach po obu stronach.

– Tak, a dokładniej dusze ludzi, którzy przegrali walkę z opętaniem lub nie wywiązali się z układów z poplecznikami Nivlaraga albo z nim samym. To dobry

budulec w tej krainie: trwały, nasączony magią i plastyczny. Takiej nietypowej architektury nie znajdziesz nigdzie indziej, więc podziwiał.

– Tu jest strasznie. Dziwnie się czuję.

– Nodergard niepokojąco wiąże się ze Złem. Panują tu: całkowita odwrotność ludzkiej natury, grzechy i przede wszystkim demoniczne moce. To miejsce żyje. Fakt, że dusze są tutaj uwięzione, nie oznacza, że nie mogą wpływać na innych. Czujesz się dziwnie, bo w tej chwili patrzą na ciebie miliony wyjących w ogłupiającym bólu dusz. Gdybyś na chwilę znalazła się po drugiej stronie, poznałabyś, czym jest prawdziwy demonizm. To, co tutaj odbierasz zmysłami, tam odczuwasz duszą.

– Zgaduję, że ty jako ożywieniec dobrze znasz drugą stronę.

– Nie jestem ożywieniecem. Nie pojęłabyś tego. A teraz bądź cicho i chodź. Coś usłyszałem.

Charczący Veriilor leżał w zniszczonej bramie twierdzy. Spod jego przedniego prawego skrzydła rozlegał się jęk. Zmora podniósł je nieco, a spod błony wypełzła dysząca i poobijana Veana.

– Miałś cholerne szczęście – rzucił, podając jej rękę. – Zresztą jak zawsze.

– To, co jedni nazywają szczęściem, dla drugich jest skrajem załamania nerwowego – ucięła cierpko.

– Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Odwieczny problem perspektywy – wtrąciła Fiora.

– Wystarczy tych filozofii. Wchodzimy po nim. – Zmora wskazał na smoka. – Nie powinno mu to w tej chwili zrobić różnicy.

Ponure wnętrze wypełniała pustka. Nie sposób było namierzyć źródła światła ani tym bardziej dostrzec sufitu. Wyglądające na solidne kolumny podporowe wręcz kipiały duszami, które musiały dźwigać ciężar demonicznej architektury. Gorszy jednak zdawał się ciężar własnego jestestwa – świadomość wiecznego bycia kawałkiem skały. Filary rozciągały się w paru rzędach i ginęły w mroku monumentalnej sali.

Ruszyli przed siebie i stanęli na krótkiej platformie tuż za progiem. Schody wiodły tym razem w dół, nie było ich jednak tak potwornie dużo jak wcześniej – od wkroczenia do twierdzy Nodergard dzieliło ich zaledwie dziesięć stopni. Każdy krok odbijał się od ścian głuchym echem.

– A więc upiorna twierdza Nodergard to pustkowie zbudowane na przegranych duszach? – zagadnęła wyraźnie zawiedziona Veana.

– Nie – rzucił zwięźle Zmora, niemal ją ignorując.

Posłał w przestrzeń kilka ognistych pocisków, chcąc sprawdzić, czy w ciemnościach nie czai się zagrożenie – nawet on miał problem z oceną sytuacji. Zaklęcia pomknęły, ale z żadnego kierunku nikt nie odpowiedział w podobny sposób. Mimo to brak potencjalnego wroga nie uspokoił nikogo, przeciwnie – wprowadził całą trójkę w zakłopotanie. Fiora z nerwów uaktywniła swoje zestawy pytań, co tylko wytrącało króla Caltehaira z równowagi, a Veana dokładała nieprzyjemne sarkazmy.

– Zamknijcie się obie, chyba że mam was wsadzić do paszczy Veriilora. Gdzieś tu jest najprawdopodobniej Zitharem. – Zmorze przyśpieszył oddech.

Kobiety spojrzały na siebie wymownie. W milczącym porozumieniu postanowiły, że nie odezwą się do momentu, aż sam zechce z którąś porozmawiać. Ciszę przerwał jednak głos dobiegający ze wszystkich stron jednocześnie. A może odezwał się tylko w głowie Zmory? Chociaż reakcja Veany i Fiory wskazywała na to, że one też go usłyszały.

– Tak... Masz rację, Zmoro. Jestem tutaj. Kopę lat, zdrajco. Mogę cię tak nazywać, prawda? Zaprowadź swoje podopieczne na szczyt. Porozmawiamy sobie.

– Zitharemie, skoro już przebyliśmy tak długą drogę, stoczyliśmy walkę z waszą maskotką i stoimy w sercu samego Zła, to może oszczędzisz nam dalszej włóczęgi i zjawisz się tutaj?

– Bezczelny do granic możliwości, jak zawsze. Widzisz, gdybym tylko mógł... bo uwierz, bardzo chciałbym ozdobić twoją głowę bramę do mojego sanktuarium... tobym to zrobił. Problem w tym, że nie mogę, bo jestem trochę... obolały. Tak. Nie widzę tego, ale czuję twoją euforię, którą jak zwykle perfekcyjnie ukrywasz pod maską bezemocjonalnego świra. Kogo próbujesz oszukać? No dalej, zdejmij swój elegancki hełm i odsłoń ten sztywny uśmiech. Och, jak ty cuchniesz urojoną radością. Słyszę każdy twój krok, a wraz z nim dumę, równie urojoną co radość, bo ty cały jesteś tylko urojeniem. Stale wielki wśród małych, stale mały wśród wielkich. Jesteś trzymany przez Los na łańcuchu i choć łańcuch ten wydłuża się z każdym twoim działaniem, daje ci tylko iluzję wolności. Przez całe życie towarzyszy ci bezradność. Nie mogę pojąć, dlaczego nie dasz sobie z tym wszystkim

spokoju. Nie odpowiadaj. Ta niewiedza jest ciekawsza od tego, co chciałbyś mi z pogardą wyznać. Słyszę, jak kurczą się kręte schody, które właśnie przemierzacie. Zaraz się spotkamy, a ty wykorzystasz dziewczynę trzymającą w ręku Tresaon, żeby mnie wykończyć. Chociaż nie! Ty nie chcesz mnie wykończyć, przynajmniej nie w takim banalnym akcie dewiacji. Pragniesz to zrobić w bardziej wysublimowany sposób. Wiem też, że gdy poznasz sytuację dokładniej, bardzo się zdenerwujesz. Ho, ho, słyszę już wasz oddech. Chodźcie, zapraszam.

Bóg zaśmiał się złowroźnie i kontynuował:

– Tutaj będziemy mieć ładny widok na piękno, którego wasze ciasne umysły nie doceniają. Gdybyście okazali odrobinę więcej szacunku, wszystko mogłoby być inaczej. Nie twierdzę, że bogowie wykonali wszystko zgodnie z planem. Najciekawszy jednak jest dla mnie pewien szczegół, który pozostawiony bezładowi doprowadził nasze wspólne istnienie do tego przykrego punktu. Wiecie, dlaczego wy, ludzie, jesteście tacy niesamowici? Otóż kiedy projektowaliśmy waszą rasę, nie mieliśmy pojęcia, jak was stworzyć. Każdy miał swoją wizję, co zaowocowało różnicami między wami. Dlatego jedni wolą zabijać, a drudzy ratować i tak dalej, i dalej. Jesteście eksperymentem, który nas przerósł. Stanowicie mieszanekę naszych poglądów, więc teraz stale się grupujecie: wyznawcy jednego boga, wyznawcy drugiego, wyznawcy pokoju i wojny, Dobra i Zła. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby Ivaldius powołał tysiące takich jak my. Nieustanna wojna bogów niszczyłaby wszystko, co byśmy tworzyli, i tak przez wieki, aż po kres wszystkiego.

Najgorsze w całej historii ludzi i bogów nie jest to, że domniemanie zostaliście stworzeni na nasze podobieństwo, tylko to, że my tak cholernie przypominamy was.

Przerwał i spojrzał na gości wyłaniających się z krętej klatki schodowej.

– Oto i oni. Trójca zbawicieli ludzkości stanęła przed bogiem. Choć bóg ledwo jest w stanie usiedzieć na czymś żałośnie imitującym tron. W dodatku nie podam wam dłoni, żeby się przywitać, bo jak widzicie, muszę uciskać ranę. Przepraszam za ten brak manier nasze piękne, waleczne damy z tym samym charakterystycznym blaskiem w oku, który przed wiekami dostrzegałem u Iranale.

Fiora i Veana zaniemówiły na widok odrażającej kreatury. Zitharem mierzył ponad trzy metry i był zdecydowanie obleśniejszy od innych demonów, w tym wyjątkowo szpetnego Razanela. Mięśnie niemal rozrywały zgniłozieloną skórę, a wijące się niczym korzenie żyły wyglądały, jakby znajdowały się na zewnątrz. Trzymał się prawą ręką za lewy bok. Rozcięcie emitowało czarną energię.

– Co tu się stało, Zitharemie? – zapytał Zmora, zbliżając się ostrożnie do demonicznego boga.

– Naprawdę o to pytasz? A może nie wiesz, jak zacząć rozmowę? No dobra, niech ci będzie – odparł leniwie pewnym siebie głosem. – Stało się dokładnie to, co u was. To coś się zjawilo i rozgromilo kilka moich najlepszych oddziałów, a potem dotarło tutaj. Wyglądało na lewitujący habit mnicha. Czułem się dziwnie, jakby cała moja boskość się ulotniła. Byłem słaby, ale podjąłem walkę. Miałem wrażenie, że to coś przewidywało każdy mój ruch. Nawet nie doszło do skrzyżowania oręczy.

To było jak taniec, w którym to nie ja prowadziłem. Wyobrażacie sobie? Bóg niedorajda, który nie umie sobie poradzić z drobną istotą... No cóż, taniec się skończył. Oberwałem, nie wiedząc nawet kiedy. I tak siedziałem na tej wieży aż do teraz.

– Czy to coś przemówiło?

– Nie. Żadnej formy przekazu intencji poza wskazaniem na mnie. Odczytałem to jako „teraz kolej na ciebie”.

– Było tak jak u nas. – Zmora pokręcił głową.

– Może właśnie o to chodzi. Może to przekaz tej istoty.

– Co masz na myśli?

– Nie dostrzegasz tego, Zmoro? Przegraliśmy. Gdy ktoś wypowiada wojnę, zwykle towarzyszą temu jakieś deklaracje, propozycje kapitulacji czy umówienie się na stoczenie bitwy. A to była demonstracja siły, której ani ja, ani ty nie potrafimy zrozumieć. Chociaż mam swoją hipotezę, która może was zainteresować. Tak swoją drogą, zwać cię Veana?

– Tak. O co chodzi? – odparła kobieta niechętnie.

– Skąd jesteś?

– Z Atro, które, tak się składa, zostało zniszczone przez was.

– Oj tak, wiem. Cóż, toczymy wojnę o to, co twoja towarzyszka trzyma w ręku. Aczkolwiek to nie jest takie ważne w obecnej sytuacji, skoro nawet boska moc zawodzi. Chodziło mi jednak bardziej o twoje pochodzenie. Jesteś z północy Ranhil, prawda? Może Rilem?

– Zgadza się. Ale skąd te pytania? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Widzisz, pomagałem kiedyś w końcowym procesie tworzenia tych nadmorskich terenów. Pięknie tam. To dobre miejsce, żeby zacząć od nowa. Wybaczcie, mam do tamtych stron sentyment. Nie patrzcie tak na mnie, nawet ja doceniam piękno rzeczy, do których powstania się przyczyniłem.

– Wzruszające – rzuciła z cynizmem Veana. – A kto poza tobą jest odpowiedzialny za stworzenie Rilem? No co? Skoro zaczął, to niech dokończy tę historię, bo jeszcze jej nie znam. – Przewróciła oczami.

– Iranale i Nivlarag – odparł krótko demon.

– Mhm. – Zmora się zadumał. – Wspominałeś, że masz hipotezę, która może rzucić nieco światła na sprawę – podjął po chwili, robiąc krok do przodu.

– Słyszeliście o Preatium?

– To małe królestwo w centralnej części wschodniego kontynentu. – Fiora w końcu się przełamała.

– Zabita dechami dziura, a nie królestwo – dodał od siebie Zmora. – Przeprowadzałem tam krucjatę. Ten kontynent to jedna wielka ruina.

– I tutaj przechodzimy do sedna – rzekł Zitharem. – Niech mnie Ivildius... Jestem ranny, długo nie pociągnę, więc się streszczajmy. Preatium i inne królestwa upadły, kiedy szarańcza z Caltehairen prowadziła tam ekspansję. Populacji na kontynencie groziła zagłada. Pominę kilka rozdziałów tej opowieści i skupię się na tym, co się stało ćwierć wieku temu, kiedy wszystkim, nawet bogom, ulżyło po tym, jak udałeś się na długi sen. Wtedy coś zaczęło się dziać w Preatium. Okupanci wyparowali po twojej klęsce, ale z innego powodu. Dolinę Preatium

zaczęły nawiedzać nieznane siły. Nasilało się to od sześciu lat. Skąd o tym wiem, zapytacie. Prawdziwi bogowie wyczuwają, co się dzieje, nawet poza granicami wymiaru, w którym zostali zamknięci. Posłuchajcie mnie uważnie. Musicie się udać w podróż przez ocean. Bez teleportowania się. Jeżeli to coś was namierzy, będziecie zgubieni. Sugeruję wam udać się na początek w okolice Ogennburgu. To dobre miejsce na rozpoczęcie wyprawy do serca Preatium. Zmora będzie musiał zrobić coś jeszcze, ale chyba już się domyślił co. – Demon spojrzał na niego szyderczo. – Przygotujcie się. Załatwcie wszystko w Ranhil i ruszajcie w drogę. Zmoro, tak przy okazji: mam nieodparte wrażenie, że wszystkiemu jesteś winien ty. Spójrz w przeszłość i dojrzyj szczegóły, które pominąłeś. Choć i tak zrozumiesz wszystko w swoim czasie.

– Mylisz się co do mnie. Winy należy szukać dużo głębiej. To nie drzewo jest winne temu, że jego gałąź spadła i kogoś zabiła, tylko osoba, która posadziła je w złym miejscu.

– Cóż za aforyzm! Jasna cholera, Zmoro, skąd ty znasz takie porównania?

– Wróćmy do Nivlaraga, w końcu to z jego powodu tu jestem. Gdzie go znajdę?

– Uważasz się za takiego mądrego, więc powinieneś wiedzieć, dokąd uciekł, kiedy przebiliście go Tresaonem.

– Nie wspominaliśmy o tym, co się stało w Ranhil...

– Nie musieliście. Nie zapominaj, że jestem bogiem. Zdychającym, a jednak bogiem. I widzę więcej niż

horyzont wymiaru, słyszę to, czego nie da się usłyszeć. Czy znalazłeś w twierdzy jego ciało? Nie, bo go tu nie ma. Ani jako Navirasa, ani jako demona. Był Nivlarag i nie ma Nivlaraga. To ci zagadka, co? Pytam się pań i panów: do którego udał się z wymiarów? – Bóg się roześmiał, aż po Claimont poniosło się echo, po czym nerwowo spojrzął na Zmorę. – Jest w miejscu, którego boisz się najbardziej. W miejscu, które wedle twojego planu miało nigdy nie powstać w twoim wymiarze. W miejscu, gdzie grzech staje się urzeczywistnieniem, gdzie zapomniano o magii, bo jest bezużyteczna. W miejscu, od którego przez całe życie uciekasz, ale które cię dopadnie. Szykuje się coś, czego nawet ja nie potrafię wyjaśnić. Nawet Ivildius gdzieś się zaszył i nie można go namierzyć. Rozumiem, że nie zamierzacie wdrzeć się do Preatium siłą i będziecie działać dyskretnie.

– Zmoro, o jakim miejscu on mówi? – wtrąciła z niepokojem w głosie Fiora.

– O Świecie Centralnym.

– Co tam jest? – dopytała Veana.

– Fioro, już czas. Odbierz mu moc Tresaonem – rzucił Zmora bez emocji, nie zwracając uwagi na Veanę.

– Jak?

– Po prostu tego zapragnij. Podejdź, zbliż Tresaon i wyobraź sobie, że wchłaniasz do artefaktu moc Zitharema. Ona nam się bardzo przysłuży.

Postąpiła zgodnie z instrukcją. Tresaon zaczął wibrować i rozmywać się w powietrzu. Demon, któremu ze zdeformowanych ust nie schodził szyderczy uśmiech,

tracił siły. Z jego obleśnego ciała uciekała czarna energia i kilkunastoma strugami kierowała się do wnętrza Tresaonu.

Bóg upadł. Potężne ciało przybrało wygląd wysuszonej, spękannej skóry. Zitharem – prawa ręka Nivlaraga – odszedł szybko i bezboleśnie.